Wspomnienie o „Maju nad Wilią”

W tym roku „Maj na Wilią” czyli spotkania poetyckie w Wilnie organizowane przez poetę i zapaleńca Romualda Mieczkowskiego odbywają się już po raz dwudziesty piąty. Historia festiwali jest bogata, a liczba ciekawych ludzi, którzy spotkali się w Wilnie układa się w barwną mozaikę. Oto historyczna relacja „Maja nad Wilią” z 1999 r. z jak najbardziej aktualnym przesłaniem.

Redakcja



Widok na Wilno, fot. Romuald Mieczkowski

Florian Śmieja

W dniach 2-5 maja w Wilnie już po raz szósty odbyły się Międzynarodowe Spotkania Poetyckie „Maj nad Wilią”. To dzięki wytrwałemu wysiłkowi zapaleńców inspirowanych przez Romualda Mieczkowskiego, poetę i redaktora dwutygodnika „Znad Wilii”, a zarazem właściciela Polskiej Galerii Artystycznej, impreza powstała i ściąga do miasta rok rocznie ludzi pióra, zwłaszcza poetów, którzy wśród pamiątek wielkich tradycji kulturalnych i w cieniu potężnych duchów, szukają wrażeń, inspiracji i kontaktów z pokrewnymi ludźmi.

Autobus z Warszawy jechał od Suwałk istnymi alejami bocianich gniazd przy ogromnym księżycu w chłodną noc osiągając mityczne Wilno. Dziwne było pierwsze wrażenie, kiedy spotykani na ulicach przechodnie nie znali języka polskiego w mieście, które Polakom tyle zawdzięcza.

W rocznicę Konstytucji 3 maja przywitała nas w dostojnej sali Związku Pisarzy Litwy dyrektorka Klubu Pisarzy Janina Rutkauskiene. Następnie udaliśmy się pod pomnik Adama Mickiewicza obok kościoła św. Anny, aby złożyć kwiaty. Pomnik jest dziełem powojennym, elementy projektowanego pomnika polskiego, płaskorzeźby, uplasowane są w pobliżu. Stamtąd ruszyliśmy na cmentarz na Rossie, gdzie zebrał się tłum Polaków czekających na oficjalne złożenie wieńców i kwiatów na grobie Matki marszałka Józefa Piłsudskiego. Po hołdzie Ambasador RP profesor Eufemii Teichmann, wieńce i kwiaty składały organizacje społeczne, młodzieżowe i prywatne osoby. Obecni byli liczni kombatanci w beretach z orzełkami. Przy grobie baczną straż pełniły harcerki, a obok stał chór górników miedzi z Lubina w galowych mundurach w czakach z białymi pióropuszami. Dla mnie i kolegów była to okazja, by pod pełną erudycji batutą poety Wojciecha Piotrowskiego odbyć pielgrzymkę po słynnym cmentarzu i zanotować miejsca spoczynku tylu znakomitości, chluby wielkiej przeszłości miasta. Ze szczególnym zainteresowaniem wędrowaliśmy do grobów rodziny Słowackiego, Władysława Syrokomli i zasłużonych dla

społeczności miasta osobistości. Wzruszył kamień, który zapadł się w ziemię i odczytać na nim można było tylko jedno słowo: „Cieniom”. Obecność świeżych mogił litewskich wydaje mi się dobrym znakiem, że cmentarz pozostanie.



Wilno, Ostra Brama, fot. Romuald Mieczkowski.

Po południu przed ratuszem, niestety przy małej publiczności,

gdyż dął niezwyczajnie zimny wiatr, chór górników z Lubina dzielnie śpiewał polskie pieśni, a wtórowała mu litewska orkiestra wojskowa grając polskie melodie ludowe, narodowe, a nawet legionowe. Trzeba było być obecnym, by uwierzyć, że w odpowiedzi na górników „Bo za naszą Polskę idą w bój", Litwini replikowali brawurowym marszem „My Pierwsza Brygada".

Zwiedzaliśmy Wilno z wielkim zapałem (większość była po raz pierwszy, ja liczyłem 12 lat, kiedy zobaczyłem miasto i po dzień dzisiejszy pamiętam gościnność i kokieterię uczennic Gimnazjum i Liceum im. Elizy Orzeszkowej). Robiliśmy zdjęcia pod domem w którym mieszkał Słowacki, w podwórzu na które wychodziło mieszkanie Mickiewicza. Weszliśmy z uszanowaniem na cudowny dziedziniec Uniwersytetu Wileńskiego z kościołem św. Jana. To dzień później w dostojnej auli 122 miałem spotkanie z kilkudziesięcioma studentami polonistyki i ich opiekunem, profesorem Algirasem Kaledą. Jego ilustrowany, po polsku wydany „Zarys literatury litewskiej" przywiozłem z sobą do Kanady. Ma służyć jako drogowskaz dla zainteresowanych literaturą Polaków. W postscriptum czytam: „… Pomimo bliskości terytorialnej i kulturowej Litwy i Polski, długiej wspólnej dla naszych państw historii, literatura litewska jest dla Polaków nieco <egzotyczna>, znana jeszcze w małym stopniu". Przyda się zapewne również tłumaczom, którzy, jak Alicja Rybałko czy Wojciech Piotrowski z Wilna, usiłują przybliżyć czytelnikowi polskiemu literaturę, a zwłaszcza poezję litewską.



Godła w Katedrze, fot. Romuald Mieczkowski.

W odnowionej katedrze okazale prezentowała się kaplica św. Kazimierza, zdumiewała bryła i wnętrze kościoła św. Piotra i Pawła, wzruszyła Msza za Ojczyznę odprawiona w kościele św. Ducha, jednym z cudownych kościołów barokowych, z których tak słusznie słynie Wilno. Kilka kościołów było w remoncie, cała starówka odnawiana jest z wielkim pietyzmem. Chętnie widzielibyśmy więcej napisów polskich, tak dokładnie pousuwanych.

Oprócz zwiedzenia muzeum im. A. Mickiewicza pojechaliśmy na peryferia Wilna do Markuć obejrzeć znajdujące się w dawnym

domu Grigorija Puszkina muzeum jego ojca, pomnik i cerkiewkę. W Jaszunach przed ruiną pałacu wspominaliśmy jego cienie: J. Śniadeckiego, A. Mickiewicza i nieszczęśliwie w Ludwice Śniadeckiej kochającego się Juliusza Słowackiego. Na Borejszczyźnie widzieliśmy pamiątki po Władysławie Syrokomli. Tam przy wieczornym ognisku odwiedziła i pogawędziła z nami pani Ambasador RP, przybył też konsul generalny, profesor M. Jackiewicz, a wśród innych gości poznałem Jerzego Głuszaka, dyrektora oddziału Kredyt Banku w Wilnie, jedynego polskiego banku działającego na Litwie.

Ponieważ „Maj nad Wilią" był przede wszystkim zlotem poetów, poezja rozbrzmiewała wszędzie: przy ognisku na Borejszczyźnie, w piwnicy pod Muzeum im. A. Mickiewicza oraz w polskich szkołach w Wilnie i okolicy. Poezja ta uwzględniała lokalną tradycję wielokulturowości: recytowano po polsku, po białorusku, litewsku, łotewsku, niemiecku, ukraińsku i rosyjsku. Ballady rosyjskie rozlegały się na biesiadach w Polskiej Galerii w otoczeniu bogatego zbioru obrazów artystów lokalnych i gościnnych.



Irena Wyczółkowska i Florian Śmieja, Wilno 1999 r.

Ważny element zjazdu stanowiły wizyty poetów w szkołach polskich. Towarzyszyłem Irenie Wyczółkowskiej, poetce zamieszkałej w Opolu, w spotkaniu ze starszą młodzieżą w wileńskiej Szkole Średniej nr 11 im. Adama Mickiewicza. Liczy ona ponad 1200 uczniów i posiada okazały, nowoczesny budynek. Czytaliśmy uczniom swoje wiersze, a następnie gawędziliśmy z nimi i ich wychowawczynią. Jest to jedna z ponad stu kilkudziesięciu szkół polskich utrzymywanych przez władze

litewskie. Sądzę, że te wizyty, osobiste kontakty z młodzieżą polską na Litwie, są szczególnie cenne i miłe dla obu stron. Młodzież na nie czeka, a z zasady odwiedziny na prowincji są bardzo ciepłymi świętami swojskości.

Oprócz poetów z Polski (niekiedy reprezentujących mniejszości np. ukraińską), przyjechała poetka i tłumaczka Renata Schmidgall z Niemiec, z Łotwy – tłumacz Herman Margers Majewskis, z Białorusi – Michał Wołosewicz oraz rosyjski poeta i tłumacz Witalij Asowskij. Poecie ukraińskiemu z Kijowa nie udało się na czas uzyskać wizy.

Trudno przecenić korzyści płynące ze spotkań ludzi pogranicza. Serdeczne kontakty ludzkie uzupełniają jeśli nie wręcz umożliwiają oswajanie surowych przestrzeni stwarzanych nam przez historię i polityków, dają lepszą szansę współżyciu i współpracy. Ks. Tischner napisał kiedyś: „Trzeba, aby pogłębiała się nasza wzajemność. Jesteśmy nie tylko ze sobą, ale i dla siebie". Więcej poetów polskich powinno wziąć sobie do serca te słowa i uczestniczyć w spotkaniach nad Wilią. Zaręczam im, że nie pożałują.

Tegoroczny „Maj nad Wilią" w stulecie niepodległości Polski i Litwy odbędzie się w dniach 27-30 maja.

Szczegółowy program ukaże się na Culture Avenue w czwartek 24 maja 2018 r.

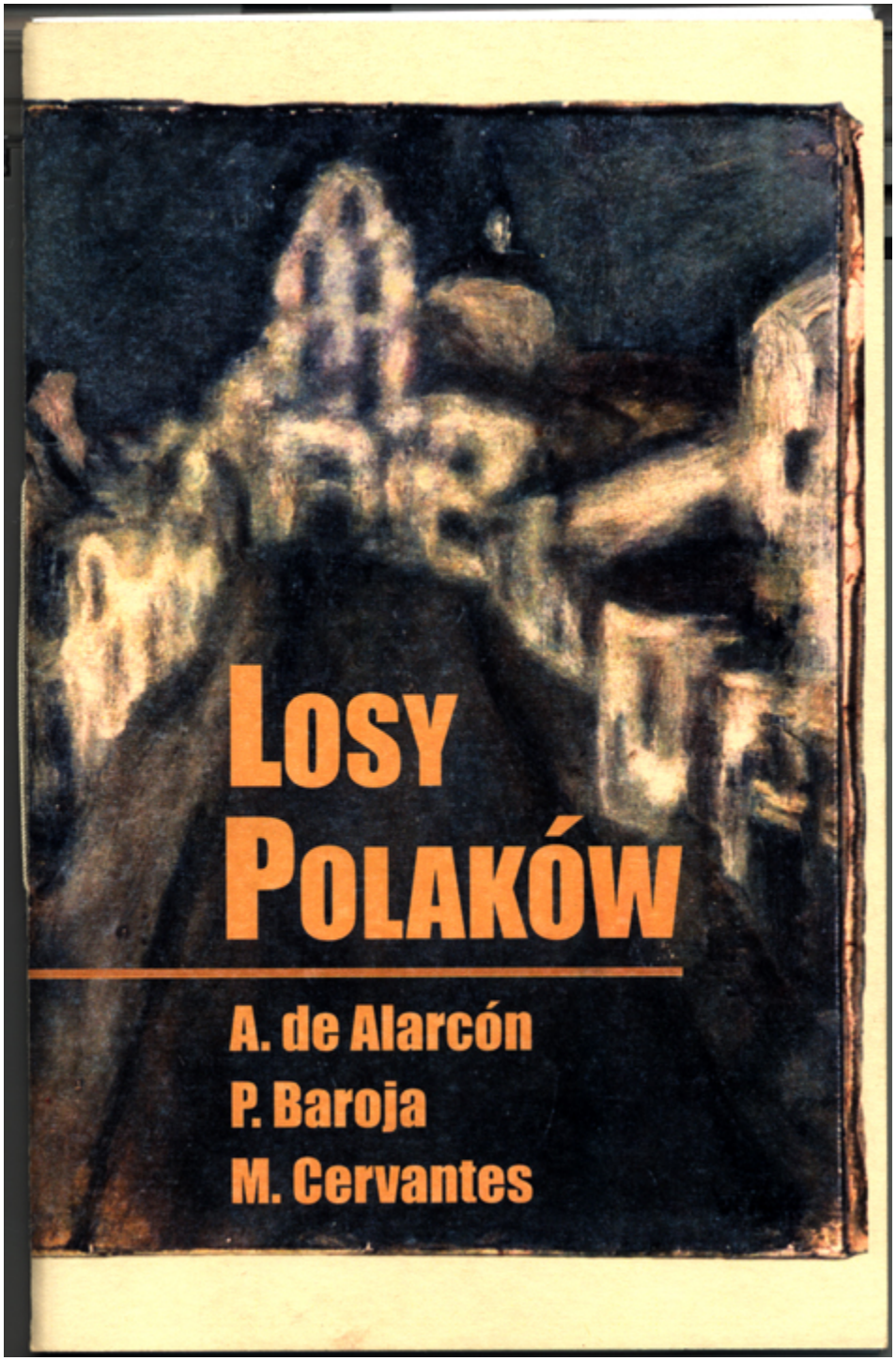
Tymczasem zapowiedź w wykonaniu aktorki Joanny Moro, która będzie gościem festiwalu:

http://www.cultureave.com/wp-content/uploads/2018/05/mik2_Moro_b.mp3

Cudzoziemiec

Pedro Antonio de Alarcón (1833-1891)

przełożył: Florian Śmieja



A. de Alarcón, P. Baroja, M. Cervantes, Losy Polaków: trzy opowiadania hiszpańskie, przełożył Florian Śmieja, Silican House, Missisauga, 2003. Drzeworyt Wilka Markiewicza na okładce.

I

Siła nie polega na powaleniu nieprzyjaciela na ziemię, ale na opanowaniu własnego szału – powiada wschodnia maksyma.

Nie nadużywaj zwycięstwa, dodaje księga naszej wiary.

Winnego, który dostanie się pod twoją władzę, uważaj za nieszczęśnika poddanego warunkom naszej upadłej natury i na ile to jest w twojej mocy, a bez szkodzenia stronie przeciwnej, okaż mu litość i łaskawość, bo choć boskie atrybuty są wszystkie równe, bardziej jaśnieje i objawia się, w naszej, opinii, miłosierdzie niż sprawiedliwość – radził Sancho Pansie Don Kichot.

Aby uświęcić te wzniosłe nauki, a także uwzględnić ducha równości, my, którzyśmy zwykli często opisywać i wynosić heroiczne czyny Hiszpanów w czasie wojny o niepodległość, a potępiać i złorzeczyć perfidii i okrucieństwu nieprzyjaciół, dziś opowiemy o zdarzeniu, które nie studząc w sercu miłości ojczyzny, umacnia inne uczucie, miłość bliźniego, nie mniej wzniosłe i głęboko chrześcijańskie. Jest to sentyment, który przez wrodzoną ułomność ludzkiego rodzaju, ustępuje, gdy rządzą twarde prawa wojny, może jednak i powinien błyszczeć, kiedy nieprzyjaciel został upokorzony.

Wedle osób zupełnie wiarygodnych, które mi o nim opowiadały, były z bliska jego uczestnikami, a nadal jeszcze żyją, rzecz miała

się następująco. Posłuchajcie ich własnych słów.

II

Odezwałem się: – Dzień dobry, dziadku.

– Bóg z tobą, paniczu – odpowiedział.

– Sami tak idziecie tą drogą?

– Tak, panie. Idę do mojej rodziny do Gador z kopalni w Linares, gdzie przez kilka miesięcy pracowałem. A pan?

– Idę do Almerii i nieco wóz wyprzedziłem, bo lubię piękne poranki kwietniowe. Ale jeśli się nie mylę, to modliliście się, kiedy nadszedłem. Możecie dalej się modlić, a ja sobie tymczasem poczytam, jeśli ten wóz będzie jechał tak wolno, że pozwoli mi uczyć się na środku drogi.

– Z tym czytaniem to jakaś zmyślona historia. Kto powiedział, żem się modlił?

– No, przecież sam wiedziałem, jak zdjęliście kapelusz i przeżegnali się.

– No, patrzcie! Co mam mówić, że nie. Modliłem się. Każdy ma swoje rozrachunki z Bogiem.

– Święta prawda.

– Daleko pan idzie?

– Ja? Aż do zajazdu.

– No, to chodź pan tą ścieżką, to sobie skrócimy drogę.

– Z przyjemnością. Ślicznie wygląda ta dolina, więc zejdźmy do niej.

Idąc za staruszkiem zamknąłem książkę i zszedłem z szosy do malowniczego wąwozu.

Zieleń i przezroczystość dalekiego widnokręgu oraz obniżanie się terenu zdradzały bliskość Morza Śródziemnego.

Przez kilka minut szliśmy w milczeniu. Naraz górnik się zatrzymał.

– Jesteśmy! – wykrzyknął.

Zdjął ponownie kapelusz i przeżegnał się.

Staliśmy nad brzegiem strumyka pod grupką figowców już pokrytych liśćmi.

– Dalejże, dziadku – rzekłem siadając na trawie. – Opowiedzcie mi o tym, co się w tym miejscu wydarzyło.

– Co? Pan wie? – zdziwił się

– Wiem tylko tyle – dodałem z zupełnym spokojem – że tu umarł człowiek i wygląda, że umarł złą śmiercią. Wasza modlitwa mi to zdradziła.

– Święta prawda. To dlatego się modliłem.

Przyjrzałem się uważniej twarzy górnika i nabrałem przekonania, że był zawsze człowiekiem uczciwym. Prawie płakał modląc się długo i rzewnie.

– Usiądźcie tu, ojcze – rzekłem podając mu papierosa.

– No, więc posłuchaj pan. No, nie. Dziękuję bardzo. Ależ on cieniuśki.

– To weźcie dwa naraz, a będzie jeden dwa razy grubszy – odparłem dając mu drugiego.

– Bóg zapłać. Otóż, panie – rzekł staruszek siadając przy mnie – przechodziłem właśnie tędy czterdzieści pięć lat temu. Ranek był taki jak dziś i czas był ten sam.

Czterdzieści pięć lat! – pomyślałem.

Melancholia czasu ogarnęła moją duszę. Gdzie się podziały kwiaty owych czterdziestu pięciu wiosen? Na głowie staruszka bielił się śnieg siedemdziesięciu zim.

Widząc, że nic nie odpowiadam, wyciągnął krzesiwo, hubkę, zapalił papierosa i tak ciągnął dalej:

– Bardzo on słabiutki! Toż to, panie, jechałem wtedy z Gelgal z ładunkiem solanki i kiedy dojechałem do miejsca, gdzieśmy zeszli z drogi na tę zieloną ścieżkę, spotkałem dwu hiszpańskich żołnierzy prowadzących jeńca, Polaka. To było jeszcze za tych pierwszych Francuzów, nie tych z 1823 roku, ale za tych innych…

– Wiem już. Mówicie o wojnie o niepodległość.

– Hej, to pana jeszcze na świecie nie było.

– A nie było.

– Hm, to pewnie było w książce, którą pan czytał. Ale książki milczą o większej części wojen. Piszą tylko to, co im bardziej odpowiada. A ludzie w to ślepo wierzą. To widać. Trzeba mieć siedemdziesiątkę na karku, jak ja na św. Jana, by coś o tym wiedzieć. Więc ten Polak służył u Napoleona. U tego łotra, co już umarł. Bo dziś, jak mówi ksiądz proboszcz, jest drugi. Ale myślę, że ten do nas nie przyjdzie. A co pan myśli?

– Cóż ja mogę wam powiedzieć?

– Prawda. Jeszcze o tych rzeczach pan nie studiował. Ksiądz proboszcz, który jest uczonym człowiekiem wie, kiedy skończą się Mamelucy na Wschodzie i kiedy przyjdą do Gador Rosjanie i Moskale, by nam zabrać konstytucję… Ale wtedy już mnie nie będzie… Wracam więc do mojej historii o Polaku.

– Kiedy ci, co z nim uciekali, cofnęli się do Almerii, biedak zachorował i pozostał w Fiñana. Jak się dowiedziałem później, miał gorączkę… Z litości zaopiekowała się nim jedna staruszka, nie zważając na to, że był nieprzyjacielem. (Pewnie od dawna już cieszy się rajem za swój dobry uczynek). Mimo, że to ją hańbiło, strzegła go ukrytego w swojej norze niedaleko od Alcazaby.

Do niej zaszli wracający do swojego batalionu dwaj żołnierze

hiszpańscy. Chcieli przypalić papierosa od lampy w owej samotnej sadybie i znaleźli nieszczęsnego Polaka. Leżał w kącie i w gorączce wymawiał jakieś słowa w swoim języku.

– Zaprowadzimy go do naszego dowódcy – rzekli do siebie Hiszpanie – jutro tego łajdaka rozstrzelają, a dla nas posadka murowana.

Iwa, bo tak się Polak nazywał, jak mi później mówiła staruszka, chorował od sześciu miesięcy na febrę i bardzo był osłabiony, a wychudzony jak suchotnik.

Poczciwa niewiasta płakała i błagała ich tłumacząc, że cudzoziemiec nie może maszerować, że po pół godzinie padnie.

Tyle wskórała, że dostała kije za brak patriotyzmu. Nie mogę po dziś dzień tego słowa zapomnieć, choć go nigdy przedtem nie słyszałem.

Co do Polaka, to niech pan sobie wyobrazi: leżał powalony gorączką, a pojedyncze słowa, które wychodziły z jego ust, na wpół polskie i na wpół hiszpańskie, wywoływały śmiech u obu żołnierzy.

– Stul pysk, didon, psie, katanie! – krzyczeli na niego.

Potem siłą wyciągnęli go z łóżka.

– Nie będę pana zanudzał opowiadaniem. W takim stanie, na wpół nagi, maszerował pięć mil. Pięć mil, panie! Wie pan, ile to kroków pięć mil? To przecież z Fiñana aż do tego miejsca. Jeszcze pieszo i boso! Niech pan pomyśli: człowiek delikatny, przystojny młodzian i biały jak niewiasta, chory od sześciu miesięcy i w gorączce.

– Jakże to mógł znieść?

– Ha. Nie mógł!

– Ale w jaki sposób uszedł pięć mil?

– No jak? Przy pomocy bagnetów.

– Mówcie dalej, dziadku, mówcie.

– Ja szedłem tym wąwozem, jak zawsze, żeby sobie skrócić drogę, a oni szli tam górą. Przystanąłem w tym oto miejscu, aby zobaczyć koniec tej sceny, pociągając czarnego cygara otrzymanego w kopalni. Iwa dyszał jak pies, zanim dostanie ataku wścieklizny. Szedł z odkrytą głową, żółty jak odgrzebany trup, z dwiema różami-rumieńcami na policzkach, o oczach płonących, lecz zapadłych – niby Chrystus na drodze boleści.

– Mnie chcieć umrzeć. Zabić mnie na Boga – jęczał cudzoziemiec skrzyżowawszy ręce.

– Hiszpanie śmiali się z owych dziwactw i przezywali go Francuzem, didonem i innymi jeszcze obelgami.

Ugięły się w końcu nogi pod Iwą i runął jak długi na ziemię.

Odetchnąłem myśląc, że biedak oddał ducha Bogu.

Ale podniósł się, gdy go pchnęli bagnetem w ramię.

Zbliżył się wówczas na skraj doliny, by się w nią rzucić i umrzeć.

Żołnierze powstrzymując go, bo nie chcieli, by im jeniec umarł, dostrzegli mnie z mułem, jak powiedziałem, obładowanym solanką.

– Ej, kolego – krzyknęli na mnie celując we mnie z karabinu. – Przyprowadź no tutaj na górę twojego muła.

Usłuchałem bez ociągania się myśląc, że pomogę cudzoziemcowi.

– Dokąd pan jedzie? – spytali, kiedy stanąłem na górze.

– Do Almerii – odpowiedziałem. – A to co panowie robicie, jest

nieludzkie.

– Tylko bez kazań! – ryknął jeden z oprawców.

– Sfrancuziały mulnik – rzekł drugi.

– Jeszcze raz otworzysz gębę, to zobaczysz, co się z tobą stanie.

Kolba karabinu uderzyła mnie w pierś.

Był to pierwszy przypadek, by mnie ktoś oprócz ojca uderzył.

– Nie drażnić, nie przeszkadzać – zawołał Polak siadając u moich nóg, bo znów upadł na ziemię.

– Zrzuć tę solankę – rozkazali mi żołnierze.

– Po co?’

– Żeby tego Żyda na muła wsadzić.

– A, to co innego. Zrobię to z wielką przyjemnością.

Powiedziawszy to, zacząłem ładowywać.

– Nie, nie, nie! – zawołał Iwa – Ty zostawić, by mnie zabili.

– Nieszczęśniku, nie chcę żeby cię zabili – zawołałem chwytając za rozpalone ręce młodego.

– Ale mnie chcieć. Ty na litość boską mnie zabić.

– Chcesz, bym cię zabił?

– Tak, tak, dobry człowieku. Ja dużo wycierpieć.

Łzy stanęły mi w oczach.

Przemówiłem do żołnierzy tonem zdolnym poruszyć głazy.

– Hiszpanie, rodacy, bracia. Błaga was Hiszpan jak wy, którzy ojczyznę kocha jak tylko kochać ją można. Zostawcie mnie samego z tym człowiekiem.

– A nie mówiłem, że to jest kolaborant! – zawołał jeden z nich.

– Diabelski poganiaczu! – rzekł drugi – uważaj na to, co mówisz. Bacz, bym ci łba nie rozwalił.'

– Żołdaku szatański! – odparłem z tą sama mocą. – Nie boję się śmierci. Jesteście łotry bez serca. Dwóch silnych i uzbrojonych chłopów na jednego bezbronnego, co umiera. Tchórze jesteście. Dajcie mi karabin, a będę się z wami bił, aż was pozabijam albo

sam zginę. Ale zostawcie tego chorego biedaka, który bronić się nie może. Ach – ciągnąłem dalej widząc, że jeden ze zbójców się zarumienił – gdybyście mieli dzieci, jak ja, gdybyście pomyśleli, że może jutro znajdą się w ojczyźnie tego nieszczęśliwca, w tym samym położeniu, co on, same, umierające, z dala od rodziców. Gdybyście pomyśleli, że ten Polak może nawet nie wie, co tu robi w Hiszpanii. Może zabrano go od rodziny do wojska, by służył ambicji jakiegoś króla, Do krocset, wy byście mu przebaczyli, bo najpierw jesteście ludźmi, a potem dopiero Hiszpanami, a ten Polak jest także człowiekiem i waszym bratem. Co Hiszpania zyska przez śmierć chorego na febrę? Bijcie się do ostatka z wszystkimi grenadierami Napoleona, ale na polu bitwy. A słabych oszczędzajcie. Wspaniałomyślni dla pokonanych, chrześcijanami bądźcie, a nie katami!'

– Dość tych litanii' – warknął ten, co przewodził w okrucieństwach i zmuszał Iwę pchnięciami bagnetu do maszerowania, ten, co za cenę jego trupa chciał sobie kupić posadę.

– Co zrobimy, kompanie? – pytał drugi na wpół wzruszony moimi słowami.

– To bardzo proste – odparł pierwszy. – Patrz!

I wystrzelił w serce Polaka, nie dając mi czasu, nie mówię, by

temu zapobiec, ale nawet by mu przeszkodzić.

Iwo spojrzał na mnie tkliwie, nie wiem, czy przed śmiercią, czy już po śmierci.

Owo spojrzenie obiecało mi niebo, gdzie już chyba był ten męczennik.

Zabójca cudzoziemca odciął mu ucho i schował do kieszeni.

Było ono kredencjałem posady, której pragnął,

Potem rozebrał Iwę i obrabował nawet z medalika z wizerunkiem kobiety czy Świętej, który Polak nosił na szyi.

Następnie oddalił się w kierunku Almerii.

Pogrzebałem Iwę w tej dolince, tutaj, gdzie pan siedzi i zawróciłem do Gergal, bo poczułem się chory.

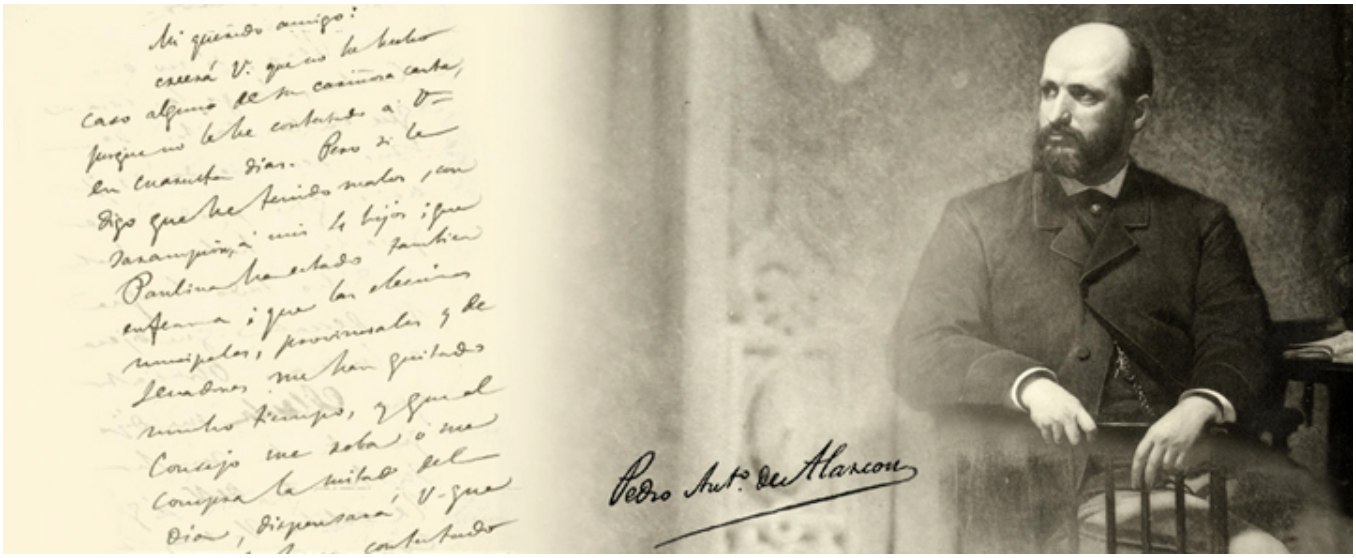
Istotnie, wydarzenie przyprawiło mnie o ciężką chorobę, która mnie nieomal uśmierciła.

– I nie spotkaliście tych żołnierzy więcej?

– Nie, ale z opisu, który mi dała później staruszka, dowiedziałem

się, że jeden z Hiszpanów nosił przezwisko Risas i że to był ten, który biednego cudzoziemca zabił i obrabował.

Gdyśmy tak rozmawiali, nadjechał wóz. Staruszek i ja weszliśmy na gościniec, uścisnęli sobie ręce i pożegnali się radzi z siebie. Obaj mieliśmy łzy w oczach.



Pedro Antonio de Alarcón (1833-1891).

***

Trzy dni później w eleganckim kasynie w Almerii piłem kawę w towarzystwie kilku przyjaciół.

Niedaleko przy innym stoliku siedziało dwu starych,

emerytowanych wojskowych. Ktoś, kto ich znał, objaśnił, że jeden z nich był majorem, a drugi pułkownikiem.

Mówili głośno, jak to ludzie przywykli do rozkazywania, tak że niechcący słyszeliśmy ich rozmowę.

Wnet uderzył mnie i przykuł moją uwagę zwrot pułkownika:

– Biedny Risas!

– Risas? – rzekłem do siebie. i zacząłem słuchać uważnie.

– Biedy Risas – ciągnął pułkownik – został wzięty do niewoli przez Francuzów, kiedy zdobyli Malagę. Wędrując z obozu do obozu znalazł się ni mniej, ni więcej tylko w Szwecji, gdzie przebywałem ja i ci wszyscy, którym nie udało się uciec z markizem de la Romana. Tam go poznałem, bo był znajomym Juana, który mi służył przez całe życie, czy raczej w czasie całej służby wojskowej. Tego Risasa wziąłem za ordynansa, kiedy Napoleon z całą bezwzględnością posłał do Rosji wszystkich jeńców hiszpańskich w składzie swojej wielkiej armii. Wtedy zauważyłem, że mój ordynans boi się panicznie Polaków, czy też czuje jakiś zabobobonny strach przed Polską. Ciągle pytał się Juana i mnie: „czy musimy iść przez ten kraj, by się dostać do Rosji?” Bardzo był zdumiony, że trzeba było. Nie ulegało żadnej wątpliwości, że człowiek ten, nadużywający alkoholu, ale żołnierz

dobry i znośny kucharz, musiał mieć jakąś sprawę z Polakiem, albo podczas wojny w Hiszpanii, albo w czasie swej długiej wędrówki przez inne kraje. Po przybyciu do Warszawy zatrzymaliśmy się tam na kilka dni. Nieopisany strach, jaki ogarnął Risasa, gdy stanęliśmy na polskiej ziemi, przyprawił go o ciężkie zapalenie mózgu. Ponieważ polubiłem go, nie chciałem go zostawić samego. Kiedy przyszedł rozkaz wymarszu, postarałem się w moim dowództwie, żeby zezwolono Juanowi na pozostanie przy nim w Warszawie. Miał on niezwłocznie po przesileniu się choroby puścić się za mną z jakimś taborem ze sprzętem czy żywnością. Ciągnęło ich bowiem mnóstwo z chmarą ludzi, w której jako straż przednia szedł mój pułk. Jakież było moje zdziwienie, kiedy jeszcze tego samego dnia, po kilku zaledwie godzinach marszu, zjawił się mój stary ordynans przerażony wielce i opowiedział o tym, co się stało z Risasem. Słuchaj pan, a zobaczysz, czy warto było pamiętać to czterdzieści trzy lata. Juan znalazł dla Risasa dogodne miejsce u pewnej kobiety ze wsi, wdowy, która miała trzy dorosłe córki. Z chwilą przybycia Hiszpanów do Warszawy pytała wszystkich bez końca przez francuskich tłumaczy, czy nie wiedzieli czego o jej synu Iwie. W 1808 roku poszedł on na wojnę do Hiszpanii i od trzech lat nie miała od niego żadnej wiadomości, co nie zdarzało się innym rodzinom będącym w podobnej sytuacji. Ponieważ Juan umiał schlebiać, znalazł wnet sposób, by smutną matkę pocieszyć i przepoić nadzieją. Podjęła się za to opiekować się Risasem, który w jej obecności zaatakowany chorobą zwalił się na ziemię.

Kiedy przybyli do domu poczciwej niewiasty, a ona pomagała rozebrać chorego, Juan zauważył, jak zbladła i kurczowo uchwyciła srebrny medalion z miniaturowym wizerunkiem czy portretem. Risas zawsze go nosił na piersi pod ubraniem jako talizman czy amulet przeciwko Polakom, myśląc, że wyobrażał on Matkę Boską lub jakąś Świętą tego kraju.

– Iwa, Iwa! – zawyła strasznie wdowa, szarpiąc chorego, który będąc w gorączce, wcale nie reagował.

– Przybiegły na to córki, i w lot pojęły, o co chodziło. Wzięły medalion i przyłożywszy go do twarzy matki znakami dawały Juanowi do zrozumienia, że ów portret był podobizną tej kobiety. Gdy jego rodak nie potrafił odpowiedzieć na pytania, zaczęły, patrząc mu w oczy, w niezrozumiałych słowach, gestach i pozach łatwo zdradzających hamowaną wściekłość, wypytywać go o tysiące różnych rzeczy. Juan rozłożył ramiona na znak, że nic nie wie o pochodzeniu tego portretu. Risasa znał tylko krótko. Poczciwa twarz mojego zacnego ordynansa musiała przekonać owe cztery rozwścieczone lwice o jego niewinności. Zresztą to nie on nosił medalion! Ale ten drugi! Tego drugiego, nieszczęsnego Risasa zabiły pięściami i rozdrapały pazurami. To wszystko, co o tym wiem. Nie udało mi się nigdy dociec, dlaczego Risas posiadał ten portret.

– Za pozwoleniem, opowiem panu – odezwałem się, nie mogąc

dłużej już milczeć.

Podszedłem do stołu pułkownika i majora, którym mnie moi przyjaciele przedstawili. Następnie wszystkim im opowiedziałem straszną historię górnika.

Kiedy skończyłem, major, mężczyzna przeszło siedemdziesięcioletni, z prostą wiarą starego żołnierza, z wybuchowością prawdziwego Hiszpana i z całą powagą swych siwych włosów, zawołał:

Na Boga, panowie, w tym wszystkim jest coś więcej niż tylko przypadek!

A. de Alarcón, P. Baroja, M. Cervantes, Losy Polaków: trzy opowiadania hiszpańskie, przełożył Florian Śmieja, Silican House, Missisauga, 2003.

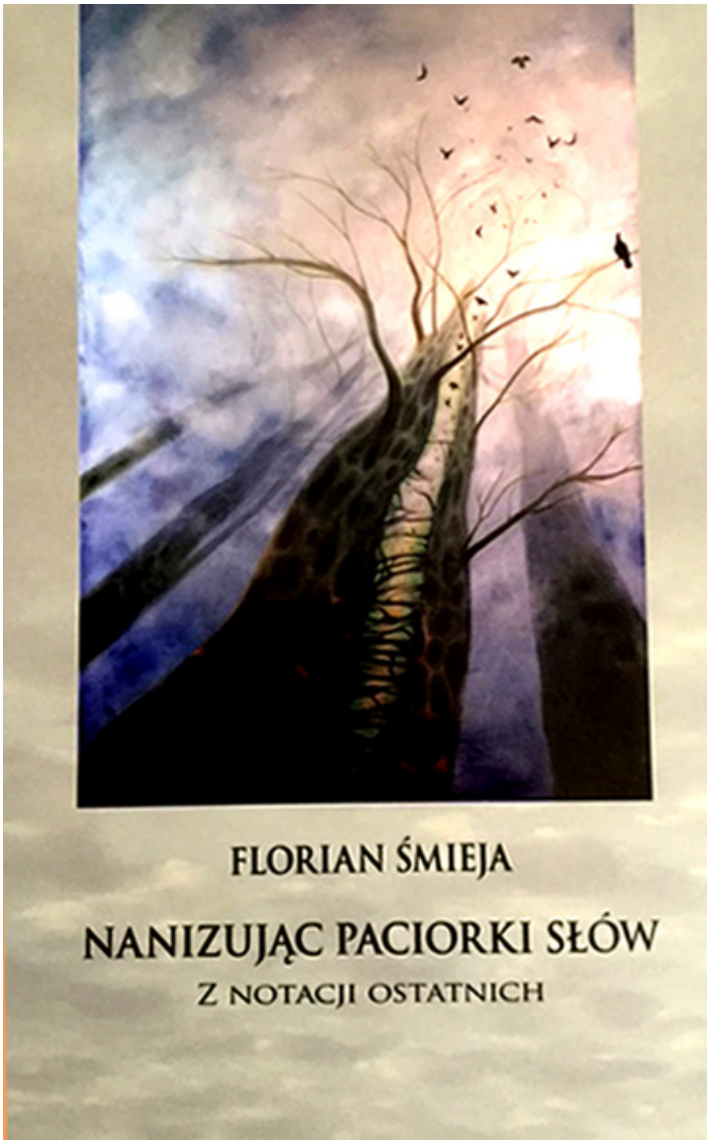
M. Cervantes, Opowiadanie Polaka (w:) Losy Polaków, tłum. Florian Śmieja na Culture Avenue:

http://www.cultureave.com/opowiadanie-polaka/

Nanizując paciorki słów

Z radością informujemy, że właśnie ukazał się najnowszy tomik wierszy Floriana Śmieji, wydany przez Polski Fundusz Wydawniczy w Kanadzie i Stowarzyszenie Literacko-Artystyczne „Fraza” z Rzeszowa. Jako ilustracje wykorzystano surrealistyczne obrazy Iwony Dufaj z Toronto.

Redakcja



FLORIAN ŚMIEJA

NANIZUJĄC PACIORKI SŁÓW

Z NOTACJI OSTATNICH

FLORIAN ŚMIEJA

NANIZUJĄC PACIORKI SŁÓW

Z NOTACJI OSTATNICH

Wstęp, wybór wierszy oraz redakcja tomu
Edward Zyman



POLSKI FUNDUSZ WYDAWNICZY W KANADZIE
STOWARZYSZENIE LITERACKO-ARTYSTYCZNE „FRAZA"
TORONTO-RZESZÓW 2018

Florian Śmieja

WĄTPLIWOŚCI

Nanizując paciorki słów, notuję
drobne doświadczenia egzystencjalne.
Czy nasyciłem te wersy substancją
przekonywającą, skuteczną a nie
pozorną i zupełnie przypadkową,
głoszącą wybawienie, katastrofy
unikając oraz wyobcowania,
inteligentną zabawę, coś więcej
niż kuglarstwo i zachcianka poety,
którego mocno zawiodło natchnienie?

BYŁ CZAS

Był czas budowy teraz likwidacja,
wspominam powstawanie fundamentów,
potem rosły mury, cegła po cegle
aż doszły do szczytu i dach je przykrył.
Te chwile wzrostu napawały dumą,
uzasadnioną nadzieją postępu
nagrodzonego wysiłku, przyszłości
godziwej i zasłużonej, nagrody
za nieprzespane noce i dni znoju
w pocie czoła spędzone, wyczekiwanie
zbliżającej się mety wytyczonej
w górnych marzeniach witalnej młodości;
pozostaje pamięć dokonanej
wtedy właściwej inwestycji czasu.

CHÓR WIEKÓW

Patrzę jak pustoszeją półki książek
zbieranych cierpliwie przez całe życie.
Teraz jest ważne, by je oddać w godne
ręce ludzi, którzy docenią skarby
zgromadzone z wielką ufnością, wiarą
w znaczne profity, bo duchowe zyski
użytkowników, czułych bibliofilów,
skrupulatnych badaczy, sejsmografów
tak wyczulonych na wzruszenie serca,
że wychwycą każdy ton chóru wieków.



Iwona Dufaj, Look Up, olej na płótnie, wielowarstwowy polerowany gips wenecki, 30″ x 40″.



Iwona Dufaj, Edge of Sanity, wielowarstwowy polerowany gips wenecki, 30″ x 40″.

ŁATWE SUKCESY

Kiedy się osiągnie respektowany
wiek, no, powiedzmy lat dziewięćdziesięciu,
wtedy o sukces nie trudno, napiszesz
wierszyk i już się cieszysz lub nawleczesz
nitkę do igły i sokoolookim
zostaniesz obwołany a jeżeli
sam tysiąc mil samochodem przemierzysz
po górskich serpentynach, toś fenomen
i niewyżyty automobilista.

PORAŻKI

Nie zrażaj się porażkami, hartują
i bądź z nimi za pan brat od dzieciństwa.
Niech staną się w życiu ostrogą, trudnym
doświadczeniem twoich możliwości,
lotem ponad przeszkodami istnienia,
wstawaniem z kolan po każdym upadku,
ustawicznym dążeniem, ofensywą,
wysiłkiem, niespuszczaniem oka z celu.

WIANO POLKI

Moja szlachcianka z kresów herbu Ciołek
przez wiejskie dzieci wrzucona w pokrzywy
zachowała wielką pogodę ducha.
Chociaż majątek nad Horyniem przepadł.
to wiano jej jest nie do pogardzenia:
niepospolita skromność i lojalność,
ślub z asystą Aleksandry Piłsudskiej,
w Rzymie tryumf Zygmunta Felińskiego,
brata prababki jej, Zofii, i pamięć
wuja zamordowanego w Katyniu.



Ilona Dufaj, Gallivant, 12″x24″x2.625″.



Iwona Dufaj, Spring Break,
12″x24″x2.625″.



Iwona Dufaj, Emigration, 12″x24″x2.625″.

ZAPOMINANIE

Zbyt często narzekałem niedorzecznie
na zapominanie, zwąc je nieszczęściem,
niedobrą przypadłością, obciążeniem.
Ale teraz dostrzegam dobre strony:
błogosławione znieczulenie czasu
litującego się nad przypadkami
proszącymi o szybkie zapomnienie,
możliwość napisania nowej karty,
nawrócenia na właściwy kierunek,
obrania wreszcie godziwego celu.

NIEDOCZEKANIE

Wiosna, której już nie doczekam będzie
szczególnej krasy i wielkiej urody:
językowi zabraknie przymiotników
by ją zachwalić naprawdę sprawiedliwie.
Żeby jej kolorom dać satysfakcję
wszystkim malarzom nie starczy palety,
trudno mi będzie wyobrazić sobie
równie wyborną porę roku od tej
niezwykłej wiosny, której nie zobaczę.

Florian Śmieja po wydaniu kilkunastu tomów poezji, po raz kolejny podejmuje próbę poetyckiego zapisania życia. W tomie najnowszym nie stara się być rewelatorem formy, co znajduje uzasadnienie w jego dotychczasowej technice twórczej. (…) Nie poetycki kunszt przekazu jest tedy dla niego najważniejszy lecz troska o jego zawartość. Wątpliwości poety nie są figurą stylistyczną. Czytając tom „Nanizując paciorki słów" mamy wszelkie dane by wierzyć, że wypływają one z najgłębszej troski o szczerość i autentyczność relacji ze światem, z innymi ludźmi, a także – może najbardziej – z samym sobą.

Edward Zyman, fragment wstępu „Zapisać życie".

Florian Śmieja, Nanizując paciorki słów, redakcja Edward Zyman, projekt okładki Joanna Dąbrowska, redakcja techniczna Yarek Dąbrowski, wyd. Polski Fundusz wydawniczy w Kanadzie, Stowarzyszenie Literacko-Artystyczne „Fraza", Toronto-Rzeszów 2018 r.

Iwona Dufaj na Culture Avenue:

http://www.cultureave.com/surrealistyczne-malarstwo--iwony-dufaj/

Nieśmiały na Parnasie: Augusto Monterroso (1921-2003).



Augusto Monterroso (1921-2003).

Florian Śmieja

Jeszcze w Anglii miałem okazję uczestniczyć w pierwszych spotkaniach z pisarzami, którzy nagle stali się bohaterami mody na literaturę latynoską, bo zaczęła święcić niespodziewane triumfy. Przypominam sobie przylot z ambasady w Paryżu do Londynu Chilijczyka **Jorge Edwardsa**, by wespół z młodym **Vargas Llosą** rozpowiadać cuda o dynamicznej nowej powieści zza oceanu. Kiedy przedstawiłem się jako Polak **Borgesowi** z matką objeżdżającemu Europę, ten przywitał mnie słowem „chleb”, które sobie skądś zapamiętał. Potem pojechałem specjalnie do ambasady kubańskiej, by posłuchać **Alejo**

Carpentiera. Niestety, słynny pisarz został zobligowany do wygłoszenia pochwały Fidela Castro. Pamiętam jeszcze, jak biegali za nim potulni sprawozdawcy z Europy Wschodniej, z przedstawicielem Instytutu Polskiego na czele. Później, na konferencji w Miami poznałem guru nowego zjawiska powieści latynoskiej, **Emira Monegala**.

Mieszkającego na emigracji w Meksyku pisarza gwatemalskiego spotkałem na zjeździe pisarzy Ameryki Łacińskiej, na uniwersytecie kanadyjskim w Windsor, w roku 1972. Był wtedy z nami m.in. **Vicente Leñero**, **Bryce-Echenique**, **Arturo Azuela**, **Salvador Elizondo**, **Manuel Puig** oraz **Augusto Monterroso**, zwany **Tito –** łysiejący mężczyzna w wieku średnim, niewysoki i jowialny, wyglądał na beniaminka słynnej falangi pisarzy, którzy w połowie dwudziestego wieku stworzyli wysoką falę powieści latynoskiej. Rozlała się ona potem po świecie, wywołując podziw i powszechne uznanie.

Chilijski pisarz i krytyk, autor "Osobistej historii boomu" zajął się tym szczególnym rozkwitem prozy Ameryki Łacińskiej, koncentrując się na nazwiskach najgłośniejszych, ale nie pomijając innych pisarzy, wśród nich **Augusta Monterroso**.

Ten Gwatemalczyk urodzony w 1921 roku w stolicy sąsiedniego Hondurasu, Tegucigalpie, okazał się bystrym samoukiem i zawziętym czytelnikiem. Wczesne zainteresowanie literaturą

łączył z polityczną aktywnością narażając się na ustawiczne zderzenia z władzami, z dyktatorami i ludźmi na usługach USA, a w szczególności potężnej *United Fruit Company*. Po upadku Arévalo i Arbenza salwował się ucieczką na emigrację i osiadł na stałe w 1944 roku w Meksyku, gdzie mieszkał aż do śmierci w 2003 roku. Zmarł na atak serca w Mexico City. Tu wydał pierwsze książki i znalazł zatrudnienie jako pedagog na Narodowym Uniwersytecie Meksykańskim. Zapewne do najszczęśliwszych chwil jego życia należało doczekanie się po pięćdziesięciu latach wojny domowej rozejmu i ugody między rządem Gwatemali a przywództwem popularnej partyzantki.

W roku 1959 wydał niewielki objętością tom prozy pod niezwykłym tytułem „Dzieła wszystkie (i inne opowiadania)". Był to zbiór bajek zdradzających już cechy charakterystyczne, które odtąd miały znamionować styl twórczości **Monterroso**: prostotę prozy, przystępność z tendencją do parodii. Swoje bajki i narracje pełne absurdu, paradoksu, pisał językiem klarownym i zaprawiał czarnym humorem.

Pisarz rzadko publikujący dopiero w roku 1969 wydał "Czarną owcę i inne opowieści". **Garcia Marquez** ostrzegał:

> Tę książkę trzeba czytać z rękami podniesionymi do góry: jej niebezpieczeństwo polega na skrytej mądrości i

> śmiercionośnej urodzie braku powagi.

W 1972 wydał “Pepetuum mobile”, potem “Reszta jest milczeniem” i “Żywot Eduarda Torresa” oraz “Podróż do wnętrza bajki”.

Miro la literatura como un juego – Literatura jest dla mnie grą, mówi prowokująco **Monterroso**, dobrze wiedzący, że jego koledzy byli mocno zaangażowani jako pisarze. Jego zdaniem, literatura upolityczniona pierwsza idzie w zapomnienie. W jego twórczości zauważamy, że powoli zaniknął w niej komentarz polityczny i społeczny. Otwarcie głosił, że jedynym obowiązkiem pisarza jest niepublikowanie podrzędnych utworów. Jedna z jego słynnych przypowieści, być może aluzja do renomowanego meksykańskiego pisarza **Juana Rulfo**, to historia o mądrym lisie, który broni się przed opublikowaniem chałtury i wychodzi zwycięsko z presji ogółu, by wydał tekst nie na poziomie.

Monterroso przedkładał myślenie nad pisanie, jego umysł usiłował stwarzać, choć zdawał sobie jasno sprawę, że wymyślał jedynie to, co już zostało wymyślone. Dlatego zanotuje, że pisanie jest czynnością zbędną, bo wszystko już zostało powiedziane:

> jedynie ignorancja każe nam odczuwać, że jesteśmy zdolni

> powiedzieć coś ważkiego, czego nie powiedziano dotąd lepiej.

Jeśli więc nie totalne milczenie, to daleko posunięta wstrzemięźliwość, zwięzłość, a to wymaga wyrafinowania i subtelności. **Monterroso** lubił parodie. Znakomicie potrafił naśladować zadęty, napuszony styl akademicki, koturnowy sposób mówienia krytyków literackich czy badaczy naukowych.

Mimo nadzwyczaj starannego obchodzenia się z językiem nie pisał pod krytyków, chciał być powszechnie czytany, choć nie zabiegał o względy jakiejś szczególnej warstwy społecznej. Gdyby szukać filiacji jego typu pisania, to trzeba by wymienić **Borgesa**. Niełatwo zakwalifikować ich twórczości. U obu daje się zauważyć nuta pesymizmu.

Monterroso lubował się w eksperymentowaniu gatunkami, które nie weszły do struktury współczesnej powieści. Pisał więc bajki inaczej. Zachował niektóre tradycyjne elementy, inne przemieniał i odwracał. Często w ten sposób tworzył zlepy rafinowanego humoru, wnikliwości, złej wiary. Ponieważ jego zdaniem moralizowanie jest właściwie bezskuteczne, nie należy szukać u niego morału.

> Osiem jego bajek czy opowiastek wydrukowałem w 1974

> roku w Londynie w kwartalniku “Oficyna Poetów”. Opatrzyłem je następującym komentarzem:
>
> Jego opowiadania i bajeczki są wielowarstwowe i inteligentne, traktują o słabościach i ambicjach ludzkich z olimpijskim pobłażaniem. Satyra złagodzona jest dobrodusznym spojrzeniem, a to co zdało się być zabawne i zaciekawiające, zdolne jest poruszyć intymne strony, wzruszyć i zaniepokoić nagłym zwrotem i niespodziewaną aluzją.
>
> Oto jedna z jego opowiastek zatytułowana „Samson i Filistyni”:
>
> Był pewnego razu zwierz, który chciał się zmierzyć z Samsonem. Nie możecie sobie nawet wyobrazić, co się z nim stało. Ale wiecie też, jak później powiodło się Samsonowi z Delilą sprzymierzoną z Filistynami.
>
> Jeżeli chcesz zwyciężyć Samsona, połącz się z Filistynami. Jeżeli chcesz zwyciężyć Dalilę. połącz się z Filistynami.
>
> Zawsze łącz się z Filistynami.

Dwa lata później w przekładzie Marii Sten oraz Andrzeja Sobol-

Jurczykowskiego wyszedł w Wydawnictwie Literackim w Krakowie wybór opowiadań **Monterroso** pod tytułem “Mr. Taylor i inni”.

Na zjeździe pisarzy w Windsor, **Monterroso** przekornie kajał się przed swoimi towarzyszami, że wśród nich, pilnych pracowników pióra, czuł się jak Judasz. W odróżnieniu od nich nie pisze, ale poprawia. Nie jest ani powieściopisarzem, co najwyżej autorem opowiadań, żyjącym w ciągłym strachu, że mu odejdzie czytelnik, któremu pisarz serwuje niepotrzebne, zbędne części tekstu, Dlatego postanowił kultywować krótkie formy pisarstwa: aforyzm, bajkę, nowelę, esej. A wszystko to przy pomocy bardzo oszczędnego języka. Swoją ekonomię podkreśla z zachwytem:

> Dzisiaj mam dobre samopoczucie, jestem Balzakiem. Oto kończę ten wers.

W podobnym duchu napisał uwagę:

> Każdą literacką pracę należy ciągle poprawiać i skracać. *„Nulla die sine linea”.* Każdego dnia anuluj jedną linijkę.

Jak osiąga swoją zwięzłość? Skreślając:

> Trzy skreślone linijki są więcej warte od jednej dodanej.

Bo zwięzłość jest elegancją, a ozdoby i powtórzenia ani nią nie są, ani są potrzebne. To Cezar, jego zdaniem, wymyślił telegraf donosząc “veni, vidi, vici”.

Nic więc dziwnego, że od początku zainteresowały go bardzo aforyzmy Leca, które mu zacytowałem. (Sam zresztą również pisał aforyzmy, jak chociażby “Nawet aplauz głupca miły jest mędrcowi”). **Monterroso** był wprawdzie raz w Warszawie, gdzie spotkał się z będącym tam na placówce dyplomatycznej meksykańskim pisarzem **Sergio Pitolem**, w towarzystwie **Juana Rulfo** i **Julio Cortazara,** ale o Lecu nie słyszał, jak sam później napisał w dodatku “Sabado” do dziennika “Unomasuno” z 10 września 1984 roku. W tym też artykule, który mi dziś służy jako *aide-memoire*, wspomniał nasze poznanie w Windsor oraz kolejne spotkania w Meksyku, na uniwersytecie, w jego domu i w 1983 na wystawie książki. Jego książki z dedykacjami dla mnie przypominają, oprócz 1972 roku, także lata 1982 i 1984. We wzmiankowanym artykule dziwuje się, że zabiegałem o rozsławienie aforyzmów Leca, nazywając moją akcję rzadką posługą, której w meksykańskiej sytuacji pisarzy nie doświadcza wcale. (Właściwie to już w madryckim miesięczniku w 1966 roku udało mi się wydrukować kolumnę myśli Leca pod tytułem “Polonesa no brillante”).

Przypomina w tych fragmentach pamiętnika, że na moją prośbę umieścił wybór "Myśli nieuczesanych" w moim przekładzie w piśmie "Creación y Critica", a także, że w czasie oglądania wystawy książek w 1983 roku zasugerował, by mały wybór aforyzmów Leca spróbować wydać właśnie w serii tekstów lektury Wydawnictwa Uniwersyteckiego. Rzeczywiście, udałem się, z pomocą **Monterroso**, do nich i przełożywszy 395 wybranych myśli pod tytułem "Pensamientos desmelenados" posłałem do wydawnictwa opatrzywszy je krótkim wstępem oraz dowcipną jednostronicową autobiografią Leca. **Monterroso** przedrukował kilka moich stwierdzeń i całą wypowiedź Leca, która mu się bardzo spodobała. Była to równocześnie pierwsza reklama zapowiadająca przyszłą książeczkę. Ozdobiona akwarelą Juliusza Studnickiego "Arcydiabeł" ukazała się w nakładzie czterech tysięcy egzemplarzy w roku 1985 i rozeszła się błyskawicznie.

Monterroso zasłynął z dowcipnych uwag o pisaniu. I tak młodemu poecie poradził, by nie rozdawał swoich tomików, ale sam je zniszczył Dowodził, że pisarzowi wystarcza jedynie pióro i papier, że pisanie jest manią, sposobem zwracania na siebie uwagi, a więc zaspakajaniem próżności. Bodźcem bywa oglądanie swojego nazwiska w gazecie, co wywołuje zawsze czyjąś zawiść. Pisać trzeba w skromności i na marginesie właściwego zawodu. Uważa też, że próbować żyć z pisania kłóci się z dobrą tradycją humanistyczną.

Do oryginalności **Monterroso** nie przywiązuje wielkiej wagi. Wszystkich piszących uważa za złodziei, z tym, że w jego opinii, niektórzy robią to bardziej subtelnie, zaś ci, co nie kradną, należą, jego zdaniem, do najlichszych pisarzy.

Pisaniu pomaga przebywanie za granicą, gdyż ludzie znający się od urodzenia, nie wierzą w wyjątkowość czy talent znanych sobie ludzi. Jego zdaniem, pisarz stacza pierwsze boje ze swoimi rodakami, a kolejne z przyjaciółmi. Łatwo natomiast jest kontestować władze, a nawet stawianie się okoniem rządzącym może być pomyślną strategią, gdyż jeśli nie powiedzie się nam jako pisarzom, to możemy winę zwalić na rządzących. Dywersję i swoje oryginalne znamię znajdziemy natomiast w każdym dobrym dziele. Notoryczności zdobytej przez rewolucje, pieśni protestu czy np. schlebianie muzyce pop przez stateczne radiostacje, zupełnie nie poważa.

Spytany o odpowiedzialność społeczną odpowiada, że należy ona do wszystkich. Pisarz jest artystą, a nie reformatorem. Tłumaczy, że proste wiersze Kubańczyka **Jose Martiego** są dziełem pisarza. Kiedy natomiast **Marti** chciał działać jako polityk, wziął karabin, przeprawił się przez Morze Karaibskie, dosiadł konia i zginął pięknie w pierwszej bitwie. Wiedział zawsze, co robi.

Jedynym zadaniem pisarza to pisać na poziomie, bez względu na to, czy ma pieniądze, czy nie, czy ma czytelników, czy jest

żonaty, czy jest dziewicą czy męczennikiem, partyzantem czy policjantem, piromanem czy strażakiem. Sytuacja ekonomiczna, powiada, nie ma nic do rzeczy. Milionerzy książek nie piszą (a w Meksyku, także nie czytają, dopowiada).

Mieszkając w ciepłej strefie globu zredukował całą tematykę twórczości do trzech zagadnień: miłości, śmierci i much. Klucz do wielu kłopotów z egzystencją widzi w humorze. Uważa go za realizm doprowadzony do końca. Zauważa, że człowiek jest niezadowolony z bycia najgłupszym spośród stworzenia, więc nadto jeszcze pragnie być jedynym śmiesznym.

To wszystkie dywagacje zapewne sprawiły, że **José Donoso** do szczupłej grupy pisarzy odpowiedzialnych za powstanie wielkiej podaży na literaturę Ameryki Łacińskiej zalicza również **Augusta Monterroso**, a **Carlos Rincón** mówiąc o prawdziwej retorcie doświadczalnej prozy latynoskiej powołał się m.in. na eksperymentowanie **Monterroso**.

Stanisław Jerzy Lec na Culture Avenue:

http://www.cultureave.com/hece-z-lecem-1909-1966/

Życie
nie tylko własne.
Tadeusz Walczak
(1924-2003).



Florian Śmieja

Jak wspomina w swojej autobiografii "Życie nie tylko własne" Tadeusz Walczak, spotkaliśmy się w Gimnazjum i Liceum im. Juliusza Słowackiego w Szkocji w grudniu 1945 roku w powojskowym obozie w małej miejscowości Bridge of Allan koło miasta Stirling. Tam to zawędrowała perypatetyczna szkoła z Crieff a przedtem z Glasgow. W nie najszczelniejszych barakach tzw. „beczkach śmiechu" zaczęliśmy razem uczęszczać do pierwszej klasy liceum humanistycznego. Uczniowie tej szkoły tworzyli bardzo mieszane towarzystwo złożone z żołnierzy, marynarzy, lotników i garści cywilów, oficerów, szeregowców, maruderów i kombatantów.

Nasi wykładowcy pracowali z wielkim zapałem niejednokrotnie potrafiąc z surowego materiału wydobyć niespodziewane rezultaty. Łacinnik na klasówkach otrzymywał tłumaczenia łacińskich tekstów w formie rymowanych odpowiedzi, względnie pisanych staropolszczyzną czy też polskim heksametrem. Gorliwość tę poświadczyło urządzenie wieczoru poświęconego Wergilemu p.t. „Nasz przyjaciel Maro", wzbogaconego obok istniejących, przekładami uczniów.

Wśród pedagogów wielkim mirem cieszył się Eugeniusz Wietrzny, natchniony historyk oraz sarkastyczny polonista Czesław Bobolewski, ogromnie wymagający, chyba sfrustrowany brakiem kompetentnych rozmówców i piszący samotnie z mozołem skrypt poetyki, a palący się równocześnie do odkrywania wśród swoich uczniów literackich talentów i sekundowania z oddaniem ich rozwojowi.

Latem 1946 roku szkołę przeniesiono dalej na północ nad zatokę Gareloch do miejscowości Garelochhead. Wysoko na zboczach schodzących do fiordu, w którym zakotwiczone stały duże jednostki Królewskiej Marynarki, znane nam już, blaszane baraki powitały chętnych do nauki uczniów, którzy tam mieli kończyć drugą klasę licealną i zdawać egzamin dojrzałości z pobliskim, legendą owianym jeziorem Lomond, za plecami.

W powielanym miesięczniku "Nasze Sprawy" próbowali swoich

sił adepci twórczości dziennikarskiej czy zgoła literackiej. Grupy dyskusyjne roztrząsały interesujące tematy, miłośnicy teatru pokusili się o znakomite wystawienie "Dożywocia" Aleksandra Fredry z niezapomnianą kreacją Rózi przez Mieczysława Cudaka.

Z Tadziem zamieszkałem w tym samym baraku, siedziałem w klasie na tej samej, ostatniej ławie. O ile dobrze pamiętam, wcale się nie przechwalał przebytym szlakiem. Jako piętnastoletni chłopak został w lutym 1940 roku deportowany z rodziną z Wołynia pod Archangielsk, ale zdołał z wojskiem gen Andersa wyjechać do Iranu i przez Irak i Palestynę dostać do Egiptu. Stamtąd w składzie kompanii podchorążych popłynął do Afryki Południowej. Eskortując następnie do Anglii jeńców włoskich na statku "Laconia" został przez niemiecką łódź podwodną storpedowany. Po kilku dniach dryfowania po Atlantyku doczekał się przybycia francuskiego krążownika „Gloire". Wzięty do niewoli wraz z innymi rozbitkami dowieziony został do Casablanki i osadzony w obozie jeńców w Maroku. Kiedy dwa miesiące później wylądowali tam Amerykanie, uwolniwszy obóz przetransportowali Polaków do Wielkiej Brytanii. W składzie I Dywizji Pancernej gen. Maczka znalazł się później we Francji, ale raniony w walkach w Belgii po konwalescencji wrócił do Szkocji na podchorążówkę w Crieff, a następnie zapisał się do Gimnazjum Słowackiego.



Szkocja. Pierwszy z lewej w dolnym rzędzie – Florian Śmieja, w środku tuż za profesorem Wietrznym – Tadeusz Walczak, fot. F. Śmieji.

Dr Roman Szajowski, nasz polonista, starał się nam jak mógł przedmiot swój uatrakcyjnić. Nie zawsze odnosił sukcesy. Wiedząc, że redaguję obozowy miesięcznik, patrzył na mnie łaskawszym okiem z czego i Tadzio korzystał. Nie raz zresztą celnie mu podpowiadałem.

Bardzo dobrze obaj opanowaliśmy język angielski. Z tej przyczyny, jako dwaj reprezentanci I Korpusu ze Szkocji, Tadzio i ja pojechaliśmy na kurs instruktorski do angielskiego Welbeck Abbey, arystokratycznego pałacu, gdzie czasowo rozlokował się British Army College nr 2. Stara posiadłość sięgająca dwunastego stulecia po grabieży za czasów Henryka VIII

pobudowała się w innym stylu, ale dopiero w dziewiętnastym wieku stała się sławna a raczej notoryczna, kiedy dziwak czy szalony książę Portlandu wziął się do gigantycznych robót ziemnych, do budowania ogromnej podziemnej sali balowej, ogrzewanego ogrodu i kilkukilometrowych podziemnych tuneli, by mógł incognito jeździć swoim powozem. Majątek miał piękne tereny, lasy, ogrody i stawy. Na jego łąkach rozgrywano rytualne mecze cricketa w tradycyjnych jasnych flanelach. W głównym budynku znajdowały się biura, salę balową w podziemiu ozdabiała imponująca galeria obrazów.

Ten ośrodek szkoleniowy, a właściwie przeszkoleniowy, miał za zadanie ułatwić demobilizowanym kombatantom przejście do życia cywilnego. Zaskakujący dla nas był już sam regulamin: do południa, do godziny dwunastej, obowiązywał ścisły rygor wojskowy i skrupulatne respektowanie hierarchii. Na uderzenie zegara zrywaliśmy z głowy furażerki, wkładali ręce do kieszeni i nie dostrzegali żadnych szarż.

Kwaterowaliśmy z innymi Polakami w osobnym baraku. Rano toczyliśmy boje z Anglikami, którzy nam robili wczesną pobudkę i przegląd kwater, ale my, choć na kursie dla instruktorów języka angielskiego, udawaliśmy, że angielskiego nie rozumiemy i ociągaliśmy się z wstawaniem ku bezsilnej furii budzących. Dopiero w ostatnim dniu, dniu wyjazdu, zaskoczyliśmy kompletnie angielskiego sierżanta, który wszedłszy do baraku,

by nas groźnie budzić, zastał całe towarzystwo na nogach z wzorowo posłanymi łóżkami.

Tadzio w swoim eleganckim, podszykowanym mundurze kaprala podchorążego I Dywizji Pancernej z czarną patką (jak mówiliśmy, żałobą po utracie koni) udzielał się towarzysko praktykując język, chodził na tańce do okazałej podziemnej sali balowej, grał w tenisa, łatwo dawał się kusić bliskiemu życiu szczęśliwego cywila. Miał już wtedy piękny cywilny garnitur, który nam pożyczał, kiedy robiliśmy fotografie, czy musieliśmy się gdzieś na mieście pokazać.

Naszymi instruktorami byli wytrawni wykładowcy i instruktorzy brytyjscy oraz dwóch Polaków. Demonstrowali nam najnowsze, wypróbowane metody uczenia, dynamicznej ingerencji słownej, ustawicznego praktykowania, kompletnego wchodzenia w atmosferę dyskursu, posługiwania się pomocami. Po intensywnym szkoleniu nastąpiły z kolei nasze popisy i demonstracje nauczonych umiejętności. Pamiętam, jak mnie kazali uczyć formowania zdań podrzędnych i dokładnie proceder objaśniać grupie polskich kucharzy i tzw. „ciurów obozowych", którzy nie mieli zielonego pojęcia o budowaniu zdań w jakimkolwiek języku.

Obaj ukończyliśmy kurs pomyślnie, a wróciwszy do oddziałów, poszliśmy różnymi drogami. Jako funkcyjny sierżant-instruktor

znalazłem się w końcu w Aberdeen w centrum szkolenia rybaków dalekomorskich. Fama głosiła, że rybacy dobrze zarabiają i szybko mogą oszczędzić potrzebne na studia pieniądze. Może przeczuwałem już wtedy, że zegarmistrzem nie będę, mimo bawienia się w reperowanie zegarków ku uciesze współmieszkańców baraku, łącznie z Tadziem, i że niebawem w morzach zabraknie dorsza, bo zacząłem gorączkowo szukać jakiejś mniej drastycznej alternatywy. Po wielu wysiłkach uśmiechnęło się do mnie szczęście. Udało mi się zakwalifikować na studia humanistyczne do południowej Irlandii w miejscowości Cork.



Tadeusz Walczak

Tadzio natomiast studiował ekonomię w Londynie. Obaj zgłosiliśmy się do egzaminu konkursowego, ja go nawet zdałem z wysoką lokatą, ale w końcu przyjęto innych. Mnie tłumaczono, że oficerowie, że zasłużeni, ranni, że jestem młody, mogę jeszcze poczekać. Niepocieszony, nie rozumiałem wtedy błogosławieństwa tej odmowy. Cóż bym ja robił w życiu z ekonomią?

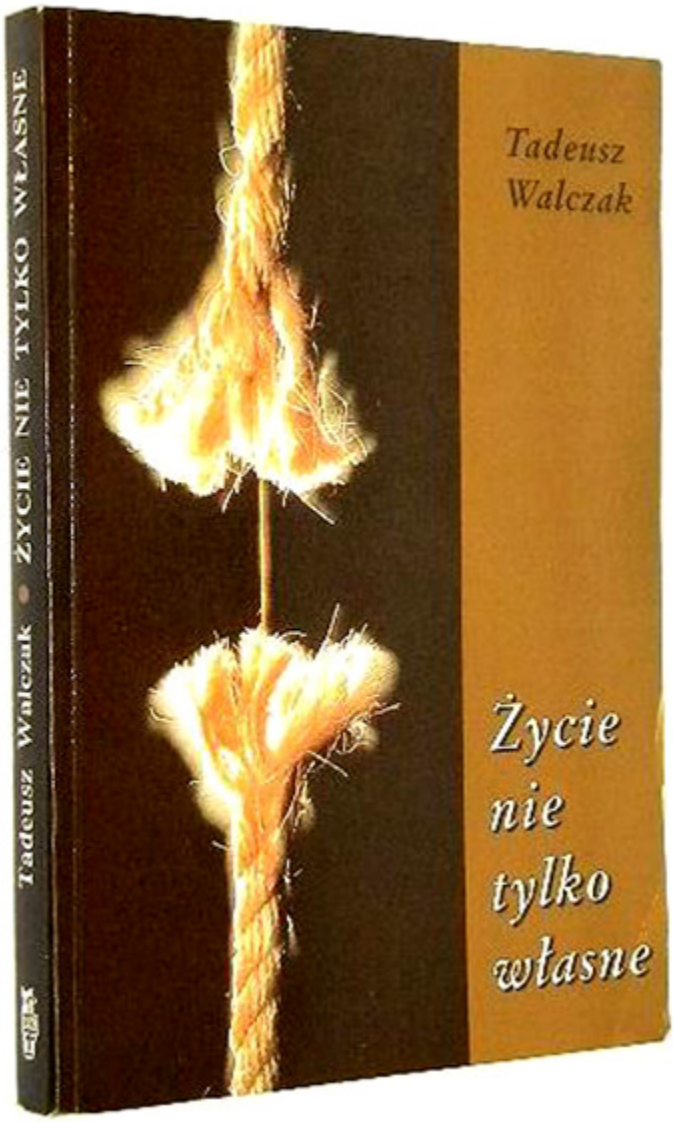
Co innego Tadzio. On miał smykałkę do interesu. Zaczęło się niemrawo. Pamiętam jego sklep prowadzony z żoną Reginą i pierwsze transakcje. Potem zakładał różne firmy. Handlował azbestem. Ustawiło go w końcu szkło, a upadek PRL-u umożliwił sensowne kontakty z Polską. Miał ogromną satysfakcję, że mógł współpracować z rodakami i pomagać krajowi w godzinie próby. Międzynarodowe sukcesy handlowe i specyfika firmy wymagały częstych i dalekich podróży. Tadzio był wielokrotnie w Chinach obserwując z bliska dynamikę rozwoju tego niezwykłego kraju. Będąc w Turcji zainteresował się Adampolem, polską osadą założoną przez Adama Czartoryskiego w 1842 roku. Pisze o niej z melancholią obserwatora posiadającego wiedzę historyczną, oglądającego ostatki szacownej inicjatywy, ofiarę nieubłaganego przemijania.

Jeszcze jedną jego niezwyczajną wyprawę trzeba wymienić: odwiedziny po latach posiołka Jeluga niedaleko Kotłasu. W 1993 roku pojechał szukać śladów pobytu w miejscu, do którego w

1940 roku wraz z rodziną wywieziony został na leśne roboty. Zobaczył jeszcze resztki baraków i spotkał niedobitki Polaków, którzy utknęli na tej nieludzkiej ziemi, utracili swój język, lecz zachowali mglistą pamięć o zsyłce i nieosiągalnej ojczyźnie.

W czasie swoich częstych podróży do Polski zajechał do Częstochowy na dzień Patronki uczelni, na której wtedy pracowałem jako gościnny profesor i na doroczny wykład wybitnych gości, w tym wypadku prof. Adama Strzembosza. Wespół z prezydentem Ryszardem Kaczorowskim celebrowaliśmy niespodziewane spotkanie w prężnej Akademii Polonijnej.

Wcześniej utrzymywaliśmy korespondencyjne kontakty (bo od 1969 roku zamieszkałem w Kanadzie) szczególnie w czasie powstawania autobiografii „Życie nie tylko własne". Użyczyłem do książki kilku fotografii z naszej szkoły w Garelochhead, na których byliśmy obaj z wychowawcami i kolegami żałując, że w wielu wypadkach nie potrafiliśmy już przypomnieć sobie niektórych nazwisk, jeszcze jeden dowód na potrzebę skrzętnego notowania w czas dla zachowania pamięci.



Książka Tadzia pięknie podsumowuje żywot jej autora i protagonisty, który z czasem zyskał w Londynie popularność i poważanie i zaczął odgrywać ważną rolę w życiu społecznym emigracji. Przez wiele lat udzielał się w Gminie Londyn Południe. Uhonorowaniem jego pełnego poświęcenia oddania pracy organizacyjnej był wybór w 1976 roku na przewodniczącego Polskiego Ośrodka Społeczno Kulturalnego. Przez dwie kadencje urzędowania popularyzował swoją organizację jeżdżąc po świecie, często w czasie wyjazdów zawodowych i spotykał się z

Polakami na różnych kontynentach, a w stopniu nadzwyczajnym stał się w Londynie duchem sprawczym wielu ważkich akcji polskiej społeczności. W roku 1997 został prezesem Polskiej Fundacji Kulturalnej. Czy szło o ratowanie zasłużonego tygodnika żołnierskiego rodem jeszcze z ZSRR i Iraku "Orła Białego" czy później "Dziennika Polskiego" czy wreszcie wspieranie polskiej twórczości literackiej, Tadeusz Walczak, wieloletni dyrektor Polskiego Ośrodka Społeczno Kulturalnego w Londynie, nie żałował ani czasu, ani środków wsparcia.

Kiedy odbierałem nagrodę Związku Pisarzy Polskich na Uchodźtwie w 1991 roku, żartowałem, że warto było ongiś w Szkocji podpowiadać Tadziowi na lekcjach polskiego, bo to on właśnie był fundatorem nagrody, która mnie akurat przypadła i spowodowała przylot po odbiór do Londynu z Wrocławia, gdzie gościnnie wykładałem w katedrze Iberystyki.

Gdzie szukać rękopisów Jana Darowskiego?



Florian Śmieja

Jan Darowski, skromny polski emigrant, poeta, krytyk i tłumacz,

duch niezależny, człowiek o rozległych horyzontach zainteresowań, zmarł w Londynie. Pozostawił po sobie dwa zbiory wierszy, kilkadziesiąt przekładów poezji i garść esejów i wywiadów drukowanych w czasopismach.

Jeżeli nie zachował wśród swoich papierów rękopisów wspomnień i esejów krytycznych, nie będzie łatwo do nich dotrzeć, jeżeli się jeszcze znajdują w posiadaniu redakcji lub osób prywatnych.

Byłem przyjacielem Janka, dużo z nim rozmawiałem, a później utrzymywałem z nim długo korespondencję. Może zapamiętane strzępy rozmów i fragmenty listów pomogą trafić na ślady tekstów przez niego napisanych i kolportowanych bez sukcesu i skierują w miejsce, gdzie mogły się uchować i przetrwać świadcząc o zamiłowaniach i ekspertyzie autora.

***

Kiedy mieszkałem tak jak Darowski w Londynie w latach pięćdziesiątych ubiegłego wieku, o spotkania było nietrudno. Odwiedzałem go w jego domku niedaleko Clapham South. Potem przeszkodziły perturbacje rodzinne, do których doszły jego słaby wzrok i liche zdrowie. Zaprosiliśmy go do naszego domu w środkowej Anglii, kiedy przeniosłem się pod Nottingham, bo na tamtejszym uniwersytecie dostałem pracę. Darowski opisał swoją wizytę ze zwykłą sobie szczodrością:

> Nie zapomnę nigdy mojego pobytu u was w listopadzie 1967 roku, kiedy wszystko u mnie było jedną bolesną miazgą, a wy zaopiekowaliście się mną z taką delikatnością i wyczuciem mojej sytuacji, że z ręką na sercu mogę powiedzieć, że w życiu nie zaznałem lepszej opieki.

Po przeprowadzeniu się do Kanady odwiedzanie go w Londynie stało się rzadsze, choć nie ustało, a kiedy zostałem ojcem chrzestnym jego najmłodszego syna, Michała, przybył dodatkowy temat do rozmów i potrzeby kontaktu.

Przenosiny za Ocean bardzo się Darowskiemu nie podobały. Przyrównał je do przesiadki z wikingowskiej łodzi (logo „Kontynentów) do nowoczesnego statku transatlantyckiego. Strofował mnie, że stałem się nieuchwytny "zamiast spokojnie siedzieć w kapciach w swoim gabinecie i pisać" oraz „Gdybyś się tak ciągle nie wiercił i nie ganiał po świecie, to dostałbyś ode mnie listy i krótkie, i częstsze". A tak listy były rzadkie i długie. I jak ich autor, bezpośrednie i bez kokieterii. Choć nie bez modulacji dumnej skromności.

Nie zazdrościł mi podróży, widoków i wrażeń. Raczej beztroskiej swobody ruchów zdrowego człowieka. Po fatalnym bowiem ataku i utracie przytomności przed domem, czekała go długa i bolesna kuracja. Kiedy wreszcie wypuszczono go do domu, musiał w

kieszeni nosić żółtą kartę na wypadek zranienia, tak aby mogli mu dać w ambulansie zastrzyk stężający krew. Czuł się więźniem i bał się sam wychodzić na spacer. Marzenie o podróży do Polski przepadło. Darowski wzdrygnął się na myśl, że może znaleźć się w przykrych tarapatach na polskiej ulicy.

> Kto umiałby w Polsce tę kartę odczytać i komu by się chciało nią przejmować. Tutaj jestem otoczony rodziną i angielskimi sąsiadami, dla których „kochaj bliźniego" nie jest tylko pustym frazesem. Poza tym muszę sterczeć koło szpitala St. Georges i regularnie być wożony na badanie krwi i regulację dawki owej trucizny na szczury.

I pomyśleć, że w takich warunkach balansowania między życiem i śmiercią powstały niektóre jego wiersze. Wspominał o tym w liście:

> Z kroplówką w przegubie ręki i niepewny jutra machnąłem szereg wierszy. Niektóre rymowane i bardzo wisielcze, jeden liryczny. Po prostu zwaliły się na mnie i tylko je zapisywałem ledwo widząc litery. Miałem co prawda szerokie okno przy łóżku i codziennie nad Wimbledonem najcudniejsze zachody słońca, jakie kiedykolwiek widziałem. Z tego wnioskuję, że to jeszcze nie koniec dla mnie i będą inne wiersze. Tylko nie

> tracić wiary. Z prozą daję już za wygraną. Nie jestem na dzisiejszych polskich częstotliwościach, ani też na nich być nie pragnę. Nie interesuje mnie literacka bawialnia.

Były jeszcze inne nawroty natchnienia:

> Czasem to leje się ze mnie jak lawa… Trudna rzecz nadrabiać w tygodnie zagubione lata i człowiek wszystko i wszystkich odsuwa, żeby coś powracającego nie przeszło mimo.

Ale był czas, gdy pisał ważne teksty prozą.

> Ciągle ślęczę nad tym esejem dla Giedroycia. On boi się go wydrukować i napisał mi o tym otwarcie. Ale mówi, że go chce mieć koniecznie, bo „temat bardzo ważny”. Chce bym rzecz trochę bardziej stonował, bo inaczej będzie draka. Z drugiej strony mnie samemu esej przestał się nagle podobać. Za dużo w nim pasji, za mało chłodnych analiz. I napisałem Giedroyciowi, żeby go nie drukował. Planuję większe rzeczy niż szarpaninę. Ale rzecz mi się rozdyma i mam całą książkę w tym i próbuję wtłoczyć w ramy eseju. Książki takiej nie będzie, za późno na nią w moim życiu. Moje teczki są pełne,

> proza i wiersze.

Zanim Darowski wziął się do realizacji wydania sobie drugiego tomu wierszy, posłał Giedroyciowi kilka wierszy z informacją, że ma ich więcej w teczkach. Chciał, by Giedroyć domyślił się o co mu chodziło. Giedroyć nie zareagował, a kiedy Darowski obraził się na „Kulturę" za nie drukowanie dużego eseju, na szczęście skorzystał z nadarzającej się pomocy w drukarni Bednarczyków, by złożyć i wydrukować „Niespodziewane żywoty".

Zasadniczo nie dbał o losy swoich tekstów. Nie pomagały w ich konserwacji porażki, których doznawał wysyłając je do Polski, gdy emigracyjni redaktorzy zawiedli. Wietrzono w nich podejrzane zapachy. W liście zanotował:

> Lisowski zażądał wycofania z „Twórczości" rzecz uchwaloną przez zespół redakcyjny ich „szerokie szpalty" bo musiał biegać po pieniądze de Dejmka. Widocznie wydawało mu się to aż zanadto aktualne, choć też było pisane w 1973 roku. Uchwalili dla siebie „grubą kreskę" i nie pozwolą nikomu na rozgrzebywanie tego. Spróbowałem więc szczęścia z tym w „Kresach", ale tam jest podobnie. Też muszą ganiać po forsę do swych lokalnych kacyków i nie mają najmniejszej chęci ich sobie zrażać. Pisali mi aż dwa razy, dlaczego ten tekst się nie ukazuje. „Zabrakło nam miejsca", „Nie układało się to w

> numerze”, lecz są to tylko wykręty. Wcale nie pytałem ich o to, więc chyba pisało do mnie ich nieczyste sumienie. Pewnie czekają teraz na numer, w którym się to da zgubić w rubryce, powiedzmy „Emigracja”, albo „Starocie”. Zaproponowali mi natomiast książkowe wydanie moich esejów, bo im się „bardzo podobają”, ale ja chyba na to nie polecę. Nie ma specjalnej radości w dalszym trzymaniu tego w teczkach, ale chyba jest jakieś *integrity*. Ważniejsze to dla mnie niż „sukces” za wszelką cenę. Oni zaś nie reklamując tych rzeczy drukowaniem w piśmie, skazują książkę na „cegłę”.

Przewiduję w konsekwencji trudności ze skompletowaniem spuścizny po Darowskim. Jak zebrać rękopisy szczególnie jego prozy? Czy znajdziemy kopie jego tekstów? Czy istnieją w redakcjach oryginalne manuskrypty, które nie doczekały się druku. Pewna wskazówkę mamy w korespondencji:

> Pokusiłem się na ten drugi wywiad. Pierwszy już się ukazał (z błędami) i żałuję, że go napisałem. Za krótka nasza łyżka to *sup with the media*. Drugi wywiad ma około 25 tysięcy słów i pewnie pójdzie do kosza. Basia go czyta i mówi, żebym go sobie zachował na jakiś inny użytek, ale jestem tak wściekły, że chyba go zniszczę. Zupełnie wytrąciło mnie to z rytmu pisania „Unsere” i pomogło mi do obecnej choroby.

Cztery moje eseje krążą po kraju i szukają chętnych. Nie wiem, czy w końcu znajdą. Majowa „Twórczość” wydrukowała fragmenty z „Notatnika”. Miało to trzy części, ale wydrukowali tylko dwie, w trzeciej ich coś przestraszyło. Teraz wiem co, bo mieli też moją rzecz o Dostojewskim, Gombrowiczu i „duszy słowiańskiej” (Ty i Bogdan też w tym jesteście) i wpierw miało to iść na szerokich szpaltach, ale potem zaprotestowali „filo rosyjscy członkowie redakcji”. Nie wiem, co z tym będzie. „Gdybym ja tylko był wiedział…” znalazło klientów, bo ponoć „rzecz jest aktualna i b. WAŻNA”. Ale kiedy to pójdzie, gdzie i czy w końcu pójdzie? Dwa inne też niby znalazły chętnych, ale wszystko to jest trochę mgliste. „Kresy” zapowiadają moje wiersze, ale poczekamy na nie do stycznia. Pięć sobie wybrali z dziesięciu posłanych.

„Kresy” zapowiadały najpierw ten wywiad w piśmie, ale w końcu go nie wydrukowały. Potem zapowiedziały moją rzecz ostatnią. Ale czy wydrukują? Nie powiem, że nie zależy mi na tym, raczej bardzo mi zależy, ale świat się nie zawali, jeśli tego nie zrobią. Może Kossowska ma rację, że oni tam wszyscy są zatruci dekadami anty emigracyjnej propagandy i do tego dochodzi zazdrość, że niektórzy z nas mieszkają we własnych domach i jeżdżą autami. Im się też to należy, plus, oczywiście etat literata, festiwale w Zagrzebiu i hotele w Paryżu.

W takiej sytuacji martwiłem się o rękopisy, które nie zostały drukowane lub nie poszły do druku, a najbardziej o te, które spotkały się z krytyką, w jakimś stopniu przez Darowskiego nie akceptowaną. Dlatego ucieszyłem się, kiedy w liście z 1996 roku napomknął:

> Porządkuję teraz moje materiały, żeby nie zostawić po sobie zbyt wielkiego chaosu… Napędził mi pietra ten ostatni udar, więc wziąłem się trochę w garść. Basia kupiła mi w tym celu foldery i już zebrałem dwadzieścia pięć kawałków prozy, drukowanej i niedrukowanej, jako teksty do książkowego wydania. A musiało tego być u mnie na kilka książek, więc mam dużo do roboty.

W naszych dyskusjach i rozmowach często poruszaliśmy racje dwu czołowych pism emigracyjnych: londyńskich „Wiadomości” Mieczysława Grydzewskiego i paryskiej „Kultury” Jerzego Giedroycia. Darowski bardzo cenił Michała Chmielowca, który prowadził „Wiadomości” po odejściu Grydzewskiego. Znalazł z nim wspólny język i chyba łudził się, że mu wszystko wydrukuje. Doniósł mi, że widział on, jaką mądrą rzeczą jest społeczne nastawienie „Kultury”, niestronienie od „gnoju” czyli pozaliterackich elementów życia i chciał czegoś podobnego dla „Wiadomości”, rozumiał też coś czego polscy pisarze nie zdają się pojmować, że jeśli pismo chce zajmować się wyłącznie

literaturą, to jej właściwie, nie potrafi zrobić.

> Cały mój zapisek o Grydzewskim w „Notatniku” jest o jego unikaniu świata pozaliterackich zaangażowań i wypełnianie pustki jakimiś hałaśliwymi walkami i urojonym przeciwnikiem w wadze piórkowej. Przecież telewizja sprząta spod nosa tę kupę „gnoju”, której atencję można jeszcze gdzieś tam zdobyć tylko dzięki jakiemuś utytłaniu się życiem pozaliterackim. Pewnie działa tu nasza stara polska tradycja niewystawiania głowy, czyli intelektualnego i moralnego w końcu tchórzostwa.
>
> Pierwszy mój wiersz nadający się może do druku brzmiał:
>
> Tchórzliwość umysłowa nas głównie cechuje,
>
> Przeto siedzimy w kącie najciemniejszym dziejów.
>
> Z naszych bzdur desperackich dorośli się śmieją

> Z fałszywym uznaniem plecy nam poklepią.
>
>
>
> A kończy:
>
>
>
> Ani na zbrodnie nas stać, ani na śmierć w arenie
>
> Nie schodzą z naszych ust słowa „Bóg” „Prawda”, „Sumienie”
>
> Lecz nasz oziębły uśmiech jest jak wygasłe piekło,
>
> Lub niebo, które się świętych swoich wyrzekło.

Patriotyzm śląski jest często szorstki, gorzki i zawiedziony. U Darowskiego znajdziemy go w obfitości:

> Tysiąc lat jesteśmy historycznym narodem, a nie wsławiliśmy się niczym szczególnym w kulturze, prócz może bezustannego gadania o niej. Następna moja książka będzie głównie na ten temat i pewnie nikt nie zechce mi jej wydrukować, bo drugiego Chmielowca nie znajdę… Habilitowali się na polonistyce, czy nie? Potrafią pokpiwać sobie, jak ich wyuczono, z Xiędza Baki czy nie? I ani jeden z tych bałwanów, jak Polska długa i szeroka, i już od pokoleń, nie zdołał jeszcze zauważyć, że w zakończeniu „Zoilusa" Baka sięgnął wyżej i piękniej niż jakikolwiek polski poeta przed nim i po nim. Nawet Hopkins i Donne wyżej nie mogli. Więc co chcesz? Piszę Hopkins i Donne dla podobnej intencji językowej i metafizyki. Jeśli zaś skróty Hopkinsa nas zachwycają, a Baki tak strasznie śmieszą. to tylko dlatego, że język polski umie streszczać tylko w komunały i staje się wręcz absurdalny, gdy stara się wznieść tam, gdzie anioły. Jak już w „Wiadomościach" pisałem, w najlepszym wypadku można z nim do „Hioba" lub „Eklesiasty". Ale do „Pieśni nad pieśniami", do „Psalmów", to tak jak byś chciał zagrać Mozarta na grzebieniu i postnej klepaczce. Przyziemne z nas plemię i takież są nawet najlepsze z naszych pieśni.

Darowski nie wstydził się przyznać do obserwacji, że mimo wszystko Gombrowicz i Miłosz na Zachodzie nie „biorą", mimo Nobla i wielu przekładów. Przyczyny są jego zdaniem,

pozaliterackie. Literatura polska po prostu nie wchodzi do ideo obiegu zachodniego, cokolwiek by nie robić.

Takie śmiałe opinie mogły się wydać zbyt daleko idące i drastyczne, nie do przyjęcia przez czytelnika i redaktorzy usiłowali je stonować, ułagodzić i w konsekwencji ich nie dopuszczać. Należy też mocno wątpić, by nawet Chmielowiec, na którego się Darowski powoływał, „wszystko" by mu wydrukował. Do zadań badacza należy obecnie potrzeba odszukania tekstów i ich ewentualnego opublikowanie.

O Janie Darowski na Culture Avenue:

http://www.cultureave.com/lektion-der-stille/

http://www.cultureave.com/jan-darowski-poeta-nieznany/

http://www.cultureave.com/zmartwychwstanie-z--posmiertnych-papierow-jan-darowski/

http://www.cultureave.com/powroty-jana-darowskigo/

Badania na temat Jana Darowskiego na Uniwersytecie w Rzeszowskim:

http://jandarowski.pl/napisano-o-darowskim/98-o--janie-darowskim-w-rzeszowie.html

---

Zaufanie



Florian Śmieja

Dom noclegowy jednej z polskich organizacji w Londynie nazywał się ładnie: hospicjum. Był położony przy szykownym skwerze niedaleko stacyjki kolejki podziemnej linii Piccadilly. Mieścił się w pięknej dziewiętnastowiecznej kamienicy. Budynek był raczej szczupły w monumentalnym stylu całego sąsiedztwa.

Hospicjum dawało nie tylko znakomity, centralny adres pocztowy, ale oferowało ponadto studentom polskim niedrogie pokoje. Wprawdzie pomieszczenia były dwu i trzyosobowe, ale przy odrobinie cierpliwości i szczęściu można było wynająć jeden

z trzech jednoosobowych pokoików.

Jeden z nich, pokój skromny, bez żadnych luksusów, umeblowany raczej po spartańsku zajmował Adam. Dostał go po Zupce, jego wieloletnim mieszkańcu. Zupka był statecznym, sympatycznym blondynem z wypiekami na uśmiechniętej stale twarzy. Studia zaczął w Bolonii po demobilizacji z II Korpusu. Tam też zakochał się we włoskiej studentce, z którą utrzymywał żywą korespondencję.

Ukończywszy studia chemii w Londynie, zaczął rozglądać się za pracą i pilnie wertował oferty ogłaszane w angielskiej prasie. Posyłał swoje zainteresowanie piśmiennie do firm poszukujących chemików i cierpliwie czekał na wezwanie na kwalifikacyjną rozmowę.

Kiedy wreszcie przyszło z Midlandów zaproszenie z wielkiej cementowni, Zupka błyskawicznie zadziałał. Najpierw pożyczył pieniędzy, by kupić sobie elegancki garnitur. Chciał zrobić jak najlepsze wrażenie przy spotkaniu z przyszłym chlebodawcą. Pojechał pociągiem pierwszą klasą na znak, że siebie ceni.

W czasie rozmowy szerzej opowiedział o swoim życiu, także o zsyłce do Związku Sowieckiego. Wspomniał o zapamiętanej z tamtych czasów cementowni. Okazało się, że stary Anglik, który z nim rozmawiał, budował ją przed wojną dla firmy Portland.

W końcu padło pytanie o płacę. Zupka śmiało zażądał stosunkowo wysokiego wynagrodzenia. Dyrektor ze zdziwieniem zauważył, że petent chciał więcej od innych kandydatów nie mając żadnego doświadczenia, wszak starał się o pierwszą pracę. Elegancki Zupka odpowiedział spokojnie, że wprawdzie szukał pierwszej posady, ale myślał o stałej pozycji, o rzetelnej pracy, a nie o tymczasowym zatrudnieniu. Dostał stanowisko, o które się ubiegał, sprowadził wnet narzeczoną do Anglii, poślubił ją i oboje wyjechali na prowincję.

Jego pokój wziął Adam. Nie wiem, czy gdzieś studiował, utrzymywał się z dorywczych prac. To faszerował w fabryce pierogi, to zatrudniał się przy wyrobie lodów. Ponieważ od dłuższego już czasu zalegał z płaceniem komornego, zarządca domu inżynier Krótki, o rzęsach jak tropikalna ryba, po wielu ostrzeżeniach, wręczył mu wymówienie.

Za eksmitowanym nikt się nie ujął. Jedni go wcale nie znali, drudzy, znając, nie widzieli sensu w interweniowaniu. Nie pamiętam, czy wiedział o sprawie ks. Wiśniewski, kapelan akademicki, który mieszkał na parterze. Był osobą bystrą i lubianą, spotykała się u niego tzw. złota młodzież, co nie chroniło go bynajmniej od spontanicznych sztubackich wybryków psotnych mieszkańców hospicjum, którzy np. włączali odkurzacz do kontaktu obok księżych drzwi na parterze, a w nocy czy nad ranem przekręcali na piętrze kontakt, który uruchamiał głośny

sprzęt na dole.

Adama bliżej nie znałem, ale jego sprawa mnie dotknęła, sumienie obudził jego los. Współczułem mu. Nie rozumiałem potrzeby egzekwowania rygorystycznych przepisów, ścisłego szanowania reguł, wagi ostrzeżenia. Wydało mi się godniejsze błądzenie po stronie łaskawości i tolerancji. Wierzyłem na słowo i stanąłem przy boku ofiary nie interesując się bliżej przesłankami, którymi kierowali się zarządzający domem. Sam fakt, że instytucja nie była ściśle komercyjna, dodawał mi otuchy, aby zaapelować do sumień i zażądać cofnięcia młodemu człowiekowi nakazu opuszczenia domu. Wydawało mi się, że wezwanie do zaufania wbrew przesłankom i doświadczeniu, do ryzykowania raz jeszcze, było obowiązkiem przełożonych, że strata finansowa nie była współmierna z surowym potraktowaniem. Musiałem wtedy wyglądać jak zapalony misjonarz lub fanatyczny rzecznik spraw beznadziejnych.

Adam przez cały czas, kiedy ważyły się jego losy, zachowywał się nieporadnie, a przy tym trochę się jąkał, każąc mi wierzyć, że wstawiam się za człowiekiem, który sobie sam nie potrafi pomóc, że brakuje mu swobody, by mógł jasno wyłuszczyć źródła niepowodzenia. Moja elokwencja, czy powstały z powodu mojego wystąpienia ambaras, sprawiły, że nakaz opuszczenia mieszkania, odwołano. Dzięki mnie dano dłużnikowi jeszcze jedną szansę.

Zaraz po zapadnięciu przychylnej decyzji Adam przyszedł do mojego pokoju i długo i wylewnie dziękował mi za ingerencję i pomoc w jego sprawie. Uścisnąłem mu rękę. Pewnie czułem krzepiące zadowolenie ze swojego zachowania, z przeciwstawienia się opinii kierownictwa, z posłużenia się moralnym argumentem, ideologicznym szantażem, kiedy nic nie skutkowało.

Adam, ośmielony trochę, zaczął rozglądać się po moim pokoju. Spojrzał na stół, na półki z książkami. Zobaczył na wieszaku mój podniszczony letni płaszcz wymagający pilnego czyszczenia. Znam pralnię – odezwał się – Przyniosę wyczyszczony.

Nie oponowałem, aczkolwiek nie spodziewałem się żadnej wdzięczności oprócz słów podziękowania. Wyszedł z moim płaszczem, przepadł i więcej się w hospicjum nie pokazał. Płaszcza też już nigdy nie zobaczyłem, choć strata materialna była minimalna i nie na tyle dotkliwa, by zachwiać skutecznie moim zaufaniem do drugiego człowieka.